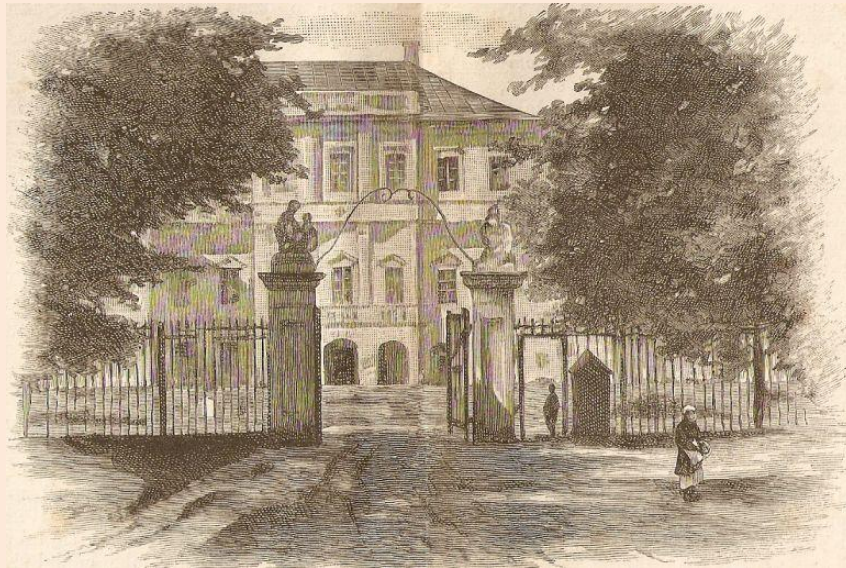


Bolesław Prus – „Kartki z podróży”

(Fragment)

OPIS „OGRODU INSTYTUCYJNEGO”



Pałac wg Aleksandra Gierymskiego.

Toteż kiedy po raz pierwszy wchodziłem w lipową aleję, ja, nieszczęsny reprezentant obmierzłego naturze gatunku, liście poczęły drzeć, struchlałe ptaki kryć się po najciemniejszych gęstwinach, a drobne muszki jęczeć mi nad uchem jak pogrzebowe dzwony zwiastujące śmierć i zagładę wszystkiemu, co się rusza. Przed moim wejściem tu słońce świeciło jasno, rzucając na trawnik złote snopy, których liście drzew uchwycić nie zdążyły, ale gdy dotknął przekłętą stopą tej ziemi, znikły z niej jeziora światłości i całą posadzkę alei powłócił jednostajny, popielaty cień niby krepa żałoby.

Dopiero gdy przekonano się, że nie jest łapacz motyli ani wybieracz pliszek, stare, doświadczone lipy zaszumiały w takt uspokajający, zaświergotały ptaki, na tle cienia zaszarzały półcienie, trysnęły potoki światła i cała aleja na chwilę skurczona ze strachu przeciągnęła się jak dobry człowiek, którego wschód słońca ze snu budzi. W kwadrans później patrzono już na mnie bez gniewu, a dziś chodzę tu po wszystkich klombach, alejach i łąkach jak nieszkodliwa nikomu mrówka lub mszyca, na którą słońce zlewa część swych błogosławieństw i której kwiaty same podają słodką rosę litując się nad jej pragnieniem. Aleja od szosy do pałacu ma kilkaset kroków długości. Obok niej na prawo widzisz ogrodzone płaskimi sztachetami półko doświadczalne, nieco dalej nie ogrodzoną i dobrze zaniechaną szkółkę młodych drzew. Za sztachetami znowu, na lewo znajduje się ogród owocowy pełen truskawek, malin, wiśni, jabłek, gruszek i śliwek, że nie wspomnę o morelach i brzoskwiniach, które tu były kiedyś. Sad ten dzierzawia Żydzi, owoców więc dostać można, jakkolwiek nie po najniższej cenie.

Tuż przed instytucyjnymi budowlami aleja przecina się z ulicą Lipową, wiodącą z miasta na Marynki i Włostowice. Przeszedłszy ją jesteśmy już na terytorium pałacowym.



Zaraz na pierwszym kroku napotyka się oryginalność, mianowicie fosę murowaną, zabytek prawdopodobnie z tych czasów, kiedy na miejscu dzisiejszej akademii gospodarstwa wznosił się obronny zamek Sieniawskich. Fosa jest niedługa, lecz parę łokci głęboka; na końcach jej stoją murowane domki, przez środek zaś idzie mostek. Dwie filigranowe, żelazne kolumny wysokie na dwunastoletniego chłopca są szczytkami ozdobnych żelaznych wrót, które istniały jeszcze za pamięci Instytutu. Wychowania Panien.

Od ulicy funkcją słupów wjazdowych pełnią dwie armaty, paszczami wkopane w ziemię. Za fosą ciągnie się spory kwadratowy dziedziniec gęsto zasadzony lipami, pod którymi bawią się dzieci, i zasiany trawą, która wypasa zbyt kujące kozy miejscowego pachciarza. Dobre te zwierzęta noszą kuse ogonki do góry, witają gości beczeniem, a niektóre z nich grzecznym panienkom z naszej kolonii dają buzi.

Następuje rząd sztachet okrągłych i wysokich jak lance ułańskie i brama, której skrzydła wiszą na dwu murowanych słupach. Słupy te słuszne, kwadratowe i żółte, zamiast daszków mają na szczytach śliczne, wyrobione z gipsu grupy dzieci podających sobie ręce do wstania lub zakładających hełm na głowę. Rzeźby owe, białe niegdyś jak śnieg, dziś poszarzały dzięki deszczom.

Weszliśmy na dziedziniec główny. Pałac jest zbudowany w formie podkowy. Front pałacu zwrócony prawie ku północy ma dwa piętra, skrzydła i oficyny po jednym. Przez całą długość korpusu środkowego, dwupiętrowego, idzie podsień wsparta na ośmiu kolumnach, a nad nią balkon z poręczą w piaskowcu wykutą. Całość budowli ładna, pokryta żelaznym, na czerwono malowanym dachem, nad którym mnóstwo piorunochronów sterczy; szkoda tylko, że ściany gmachu od dawna zresztą barwią się na żółto, co im daje pozór czysto szpitalny, w części kryminalny.

Prócz kilku lip, topoli włoskich, trawników, kęp bzu i pięknych okazów wierzby płaczącej, której żółte gałązki i jasnozielone listki zdają się całować ziemię, najpiękniejszą ozdobę dziedzińca stanowi prostokątna murowana sadzawka tej mniej więcej obszerności co kopiąca się obecnie w Ogrodzie Saskim w Warszawie. Woda do niej przy pływa ze wzgórz o parę wiorst od pałacu odległych i wycieka przez miedziane w łuki zgięte rury, zwane "węzami". Sadzawka za pomocą stosownych urządzeń zaopatrywała w wodę kilka lokali pałacu: łazienkę, pralnię i kuchnię. Co pewną liczbę lat sadzawka oczyszcza się, a wówczas całą masę wody spuszcza do Wisły przez murowane kanały. Wiedzieć bowiem trzeba, że pałac tutejszy ma swoją autonomiczną, bardzo porządną kanalizację, a jak dziś to i oświetlenie gazowe. Niedawno nawet, dzięki rozbudzeniu się filozoficznej samodzielności stróża palącego w grubie gazowej fabryki, miała tu miejsce niewielka, taka sobie powiatowa eksplozja gazu, która na szczęście żadnych ważniejszych szkód nie sprawiła. Poczciwy piecopał, dopóki był machiną i robił, co mu kazano, z roli swojej wywiązywał się cudownie i produkował gaz paradny. Nagle ocknął się w nim umysł badający i wolna wola, począł tedy własną teorią stosować do palenia w piecu i kręcenia kurków i o mało gmachu w powietrze nie wysadził!

Prócz dzieł natury i sztuki dziedziniec ten upiększają jeszcze przedmioty naukowej doniosłości. Widzimy tu naprzód wielokątną drewnianą budę, podobną do studni klasztornej albo szafasu z wodą sodową. Lecz sursum corda! jest to bowiem obserwatorium meteorologiczne, ozdobione na szczytach chorągiewką wietrzną, a od strony pałacu liczbami oznaczającymi stan barometru i termometru tudzież zegarem.

Drugim niezmiernie ważnym aparatem naukowym psującym symetrię podwórza jest pewne, średniej wielkości naczynie. Ma ono kształt siedzenia z wgłębieniem i służy do mierzenia ilości spadłego deszczu lub piasku i kamyków wsypanych tam przez dzieci. Trzecią,



najdonioślejszą machiną jest słupek kamienny, z wyrytym na wierzchu kierunkiem południka, jeżeli mnie domysły nie mylą.

Kiedym tu wszedł po raz pierwszy i w rezerwoarach miejscowej astronomiczno-meteorologicznej wiedzy chciał światła zaczerpnąć, słup z południkiem nie nauczył mnie ani o długości, ani o szerokości jeograficznej Puław, w psychometrze znalazłem trochę żwirku, z cyfr termo i barometrycznych nie mogłem nic wywnioskować o pogodzie lub deszczu, ani w końcu uregulować zegarka, ponieważ miejscowy czasomierz obchodził wakacje. Sądzę, że jedynie naukowe usługi oddaje tu chorągiewka na dachu, dzięki której zwierzchność akademii rolniczej poznać może, skąd wiatr wieje i jaką ma siłę?

Ogród instytucki, brylant Puław, ma około wiorsty długości mniej więcej ze wschodu na zachód i około dwustu sążni szerokości z północy na południe. Wszystkie uliczki jego rozciągają się chyba przeszło na milę, jeżeli nie dwie.

Ogród ten podzielić można na trzy części. Górna rozciąga się na płaskowzgórzu puławskim, gdzie stoją: pałac, domek gotycki, Sybilla, oranżeria i pałacyk gościnny. Część dolna leży o 3G do 40 stóp poniżej płaskowzgórza i posiada jako godne uwagi szczegóły: ogród botaniczny, chińską altankę, łacę, rodzaj długiej sadzawki, która ciągnie się od wschodu na zachód prawie, tworząc południową granicę ogrodu i pałac marynkowski. Część górna z dolną łączy się za pośrednictwem, spadku, przykrego w jednych miejscach, łagodnego w innych, na którym leżą: tunel, inaczej angielskimi schodami zwany, pochyle drogi i sztuczne grotty.

Zbiorowisko to roślinne otacza pałac z trzech stron: od wschodu, południa i zachodu. Ostatni płat jest najmniejszy i najmniej ciekawy i dlatego należałoby oglądać go najpierwej.

Wyminawszy sadzawkę i patrząc na główny korpus gmachu dostrzec można w prawej oficynie wielką, zieloną kwadratową bramę. Przechodzimy ją i znajdujemy się w owej najmniejszej części ogrodu.

Jest ona względnie dość nową. Kępy drzew, kępy śliczne i gęste nie opanowały jeszcze przestrzeni i z tego powodu istnieje tu niejaka równowaga między trawnikami i klombami. Najbardziej rzucają się w oczy akacje wydające w epoce kwitnienia przyjemnie mdły zapach; jest też dosyć bżów, topoli nadwiślańskich, kilka piramidalnych świerków i trochę klonów. Najstarszym i największym drzewem zdaje się być dzika gruszka formująca obok pałacu altanę, w której nawet ławki urządzono.

Idąc najszerszą drogą od gmachu wprost przed siebie, spotykamy na lewo mały pałacyk gościnny, ozdobiony dwoma ładnymi posągami naturalnej wielkości. Mieszkali tu kiedyś monarchowie zwiedzający Puławę.

Stąd już widać mur okalający tę część ogrodu. Pod nim na prawo od głównej drogi stała kształtna altanka z pni brzoźowych korą pokrytych, z której dziś śladu nawet nie ma. Przed nią, na trawniku, za czasów Instytutu Panien mieściły się huśtawki. Ludzie zresztą niezbyt starzy widywali tu w dnie pogodne szeregi uczennic w zielonych lub wiśniowych sukienkach, białych fartuszkach i pelerynkach, dźwigające na głowie szarytkowskie kapelusze: Dziś w tych miejscach spotkać można tylko szare wróble, praprawnuki owych, które niegdyś świergotem przedrzeźniały radosne okrzyki półzakonnice, kształcących się na damy wielkiego świata.

Warszawski Ogród Botaniczny bez porównania piękniejszy jest od tej dzielnicy, którą goście warszawscy odwiedzają rzadko i na krótko, zawracając czym prędzej ku angielskim schodom. Jest to w połowie tunel, w połowie wąwozek, obmurowany cegłą, pomalowany na kolor krwi wołowej i wybrukowany. Gdy idziesz tędy, kroki wydają dźwięk metaliczny, który kilka razy powtarza króciutkie, urywane echo.



Wyjścia z angielskich schodów pilnują niewysokie słupy z popielatego marmuru tudzież ławka piaskowcowa, na której znać głębokie ślady ostrzenia kozików. Tu możemy odpocząć. O parę kroków przed nami na pagórku ładnie wygiętym stoją, niby witające dawnych magnatów sługi, dwa potężne dęby, najdawniejsze i najtrwalsze pamiątki po książętach Czartoryskich.

Drzewo to nie od razu rzuca się w oczy. Szybciej od niego rośnie i bez porównania wyżej konary wypuszcza sokora, zgrabniejszą jest topola wioska, foremniejszą -trójkątna jodła, milszą - okrągła lipa. Aby ocenić dąb należyście, trzeba go widzieć w wieku dojrzałym, rozpatrzeć szczygóły, zetknąć się z nim w różnych wypadkach.

Dąb nie jest wyciągniętym olbrzymem, ale krępy siłaczem. Pierwsze konary opuszcza prawie do ziemi, nie przerasta dobrze wyrosniętej lipy, lecz pień jego może mieć kilkanaście łokci w obwodzie. Gałęzi takie mnóstwo, że same tworzą gaj czy dach, pod którym tłum ludzi znaleźć może osłonę. Grube, pogięte jak węże konary, mówią ci, że gdyby kiedyś rośliny otrzymały ruch samodzielny, on ruszałby się najzwawiej pomimo całego ogromu. A taka w nich siła, że na lada patyku ucześcić się możesz i huścić bezpiecznie. Ale wartość dębu występuje na jaw dopiero w czasie burzy.

Kiedy sosny się gną, lipy trzeszczą, łysy sokory bez ceremonii wałą ci gałęzie na kark kiedy strwożony zapominasz o pięknościach lasu i biadasz na zdradzieckich jego mieszkańców, wówczas sam tylko dąb bezpieczne ofiaruje ci schronienie. Jego potężny, niewzruszony pień zasłania od wichru, stalowe konary pasują się z nim, liście odbijają strugi deszczu. Ponad świstem i sykiem krzaków, jękiem, skrzypieniem i kołataniem drzew góruje głos jego majestatyczny

i huczący jak sflumione echo piorunów. Widząc to, pojmujesz, dlaczego dąb nazwano królem lasów i zębatymi jego liśćmi wieńczono głowy bohaterów.

Ławka stoi pod lewą ścianą angielskich schodów; na prawej przed dziesięcioma laty jeszcze znajdowała się wielka piaskowcowa tablica z tym czterowierszem:

O wy, dęby, szelestnym powiewem odzowne,
Młodniejące starością, siwym mchem szanowne,
Sadził was własną ręką dla swojego syna
Nestor nasz, późne plemię rodu Gedymina

Mowa tu o jednym z książąt Czartoryskich, prawdopodobnie ojcu albo dziadzie Adama. Poniżej dębów leży sztuczna skała, wzniesiona już przez Instytut Gospodarstwa, a przeznaczona do pielęgnowania roślin między kamieniami żyjących. Na prawo od niej aż do muru granicznego ciągnie się ogród botaniczny, kwiatowy i cieplarnia. Przez całe lato zagony rzadkich roślin okrywano sieciami, które w dzieciach naszej kolonii obudziły podejrzenie, że ogrodnik tutejszy jest bardzo skąpy i w taki sposób kwiaty od zrywania zabezpiecza!

Wprost angielskich schodów już blisko łachy widnieje sześciokątny, murowany budynek - chińska altanka. Ma ona kształt pagody, dach z zadartymi krawędziami jak kapeluszyk mandaryna, na szczycie szpic a na nim rozpięty parasol. Budowla ta, raczej dziwna niż

ładna, posiada dwa wielkie okna, wysokie drzwi starannie zamknięte i służy obecnie do przechowywania ... kilku przyrządów rybackich! Już to w Puławach jest dużo miejsca, tak dużo - że ludzie nie wiedzą, co z nim robić. Tymczasem zaś władza akademii rolniczej troska się o uplacowanie zawiązków muzeum krajowego, które przecież bezpiecznie mogłoby, zastąpić więcierze i różne inne pułapki na ryby.



Cząstka ogrodu przylegająca do frontu chińskiej altanki jest dzielnicą kasztanów, najstarszych, najpiękniejszych i najliczniejszych w tym miejscu. Pień jednego z nich wprost drzwi pagody służy za podstawę stołu, przy którym kilkanaście osób wygodnie pomieścić można. Przed laty kasztan ten formował altanę, a wielkie konary jego kruszące się pod brzemieniem wieku podtrzymywano za pomocą ram i klamer. Z tej zapewne racji ścięto go, choć starowina miał jeszcze tyle energii życiowej, że dziś korzenie jego nowe puszczają pędy. Parę ław znajdujących się tutaj chętnie zapełniali warszawiacy, w części przez pamięć na połatane blachą kasztany Saskiego Ogrodu, częścią dlatego, że chińska altanka była punktem zbornym dla osób udających się na "łakę", kędy grano w piłkę i cerceau. Tu także przysłuchując się szelestowi palcowatych liści kasztanów pewien krytyk przez miesiąc dumał nad "siłami i środkami naszej sceny".

Łacha szeroka w całej długości na kilkadziesiąt kroków i głęboka na jakie pięterko, w tym miejscu zwęża się w rynsztoczek, do którego baby chodzą płukać bieliznę. W tym też miejscu o brzegu spadzistym, gęsto wierzbami obrosłym, kolonia warszawska przeprowadzała się na piłkę. Początkowo przechodzono wodę po deszczułkach wąskich jak dłoń, w pośrodku kołkiem spojonych.

Na przyrząd ten przedstawiający nader wątpliwe gwarancje damy żadną miarą wstępować nie chciały i dopiero gdy powiedziano im, że przy przeprowadzie tego rodzaju doświadcza się oryginalnych wrażeń, najśmielsza weszła. Z brzegu zjechało się ślicznie jak saniami, ale na środku kładki odważna dama spostrzegła, że przejście jest niewygodne.

- Niech się pani oprze na moim rękę z zupełną ufnością! - mówił rycerski przewodnik. Dama oparła się z zupełną ufnością i... runęła w wodę, tak że ze strachu aż drugi koniec kładki podskoczył.

- Dziwny wypadek! - mruknął przewodnik. - Ja się nawet nie zamaczałem.

Po takim eksperymencie należało wymyśleć coś trwalszego. Jakoż całe towarzystwo, nie wyjmując kobiet, starców i dzieci, poczęło znosić suche gałązki i rzucać je na strugę. Uformował się stos, którego jamy i nierówności zasłonięte zielonymi witekami. Zgodnie z przepisami budowniczo wie przeszli pierwsi, młodzież przeprowadziła damy, ich koszyczki, chusteczki i parasolki i tym sposobem zainaugurowano most prawie tak bezpieczny jak Nowy Zjazd przed restauracją.

Łąka formuje olbrzymi czworokąt zamknięty łąką, chmielnikiem, gajem i aleją wierzbową. Gładka jest jak posadzka, zielona jak szmaragd. Gdzie spojrzysz - pięknie, ale najpiękniej wygląda stąd pałac. Wyobraźcie sobie łąkę osadzoną tatarakiem i wikliną, zasypaną okrągłymi liśćmi i żółtymi kwiatami lilii wodnych. Za łąką trawnik przecięty dwoma ścieżkami, a dalej zielony, czysty, kilkadziesiąt stóp wysoki wzgórek. Po obu stronach jego literalnie bałwaną się tłumy drzew, a na szczycie wznosi się korpus pałacu wyłożony szarawym piaskowcem. Front ten bez drzwi i dwupiętrowy, ozdobiony wielkimi oknami, ma po bokach dwie wieże czworokątne, a na środku sześciokątną, wsuniętą w głąb gmachu tak, że tylko trzy jej ściany wybiegają naprzód. Wygląda to, jakby średniowieczny zamek tonął i rozpląwał się w nowożytnym pałacu.

Ale zebrani nie przyszli tu delektować się krajobrazem. Już pod krzakami rozesłano szale, na których zasiadają damy poważne i otwarto koszyki, z których czerpią siły do dalszych trudów dzieci najwątlesze. Reszta tłumu rozbija się na dwie grupy, z których panie i kawalerowie kultywują c e r c e a u, mężowie zaś dojrżeli grę w piłkę. Zabawa ożywia się bez względu na to, że pan X. podając kółko pannie Y. trafia nim w pana Z., a zmęczony jedzeniem Władzio odrzucając piłkę ojcu sam się przewraca. Nagle, jak bomby na oblegane miasto, spadają na rozbawiony tłum okrzyki:



- Gdzie Mania?...

- Gdzie Wandzia?...

Ojcowie, matki i pełna elegancji młodzież po całej łące szukają Mani i Wandzi, jakby panienki te były co najmniej konikami polnymi. W końcu wysłani w różne strony gońcy, donoszą, że Wandzia korzystając z ogólnego zamętu chciała wleźć na drzewo; Mania zaś, zamyśliwszy się, została na drugiej - stronie łąchy.

Najpoważniejszy jednak niepokój w sercach rodziców budzi Staś prowadzący życie rozpasane i pełne przygód, między którymi nieporozumienia z władzą ojcowską tworzą niemalą rubrykę. Szczęściem fenomenalny ten chłopczyk nie daje się szukać jak szpilka, o obecności bowiem jego i pomyślnym stanie zdrowia świadczy krzyk dwu dziewczynek, które w tej chwili przewrócił. Na domiar złego strapiona matka ze smutkiem spostrzega, że Staś ukrył się wprawdzie w trawę, ale nie z powodu wyrzutów sumienia, lecz dlatego aby schowany przed okiem starszych mógł jeść szczaw!...

Znalazłszy Manię, zdjąwszy z drzewa Wandzię, pogodziwszy Bolka z Ludkiem i upomniawszy Stasia, który między zjedzeniem szczawiu i doskonałą skruchą za grzechy dawniejsze popełnił kilka nowych występków, towarzystwo z podwójną energią oddaje się rozrywce. Panowie nawet na pamiątkę uśmierzenia Stasiowego buntu proponują urozmaicić grę w piłkę za pomocą biegania. Jest to kulminacyjny punkt tej męskiej zabawy, każdy bowiem, kto rzuci piłkę, przebiega na miejsce sąsiada i tym sposobem legitymuje się z posiadania obu par kończyn w należyтым porządku. Lecz o dziwo! pan X., który biega bez zarzutu, a nawet skacze i dopuszcza się innych bohaterskich wysiłków, obchodzi po kilkakroć całe koło, a pomimo to piłki dostać nie może; skutkiem dziwnej kombinacji rzucania ze zmianą miejsca uwięzła ona jak klątwa między panami Y. i Z., którzy znowu chcąc się pozbyć licha pracują tak, że aż pot z nich cieknie, jakby przechodzili c r i s i s w tyfusie. Słońce zaszło, na łąkę rosa spadła, trzeba więc wracać do domu. Czynność ta spełnia się bez żadnej szczególnej przygody, za wyjątkiem chyba tej, że Władzio szukając laski zgubił czapkę.

W połowie sierpnia klęska po klęsce zaczęła dotykać kolonią naszą. Między dziećmi ukazała się ospa wietrzna, więc "zadzumieni" na jakiś czas wykluczeni zostali z grona "czystych". Witano się z nimi przez elewację, okazywano im współczucie z daleka; oni zaś, biedaki, nie śmiejąc mieszać się już do wspólnych zabaw, obchodzili tylko dokoła wesoły orszak piłkarzy jak lwy stado gazeli i nad gorzką dolą swoją melancholijnie wzruszali ramionami. Potem przybór wody splukał most, potem zaczęto się rozjeżdżać i w taki sposób opustoszał ten najzieleńszy z zielonych trawników, który przez wzgląd na jego piękność można by nazwać "łąką warszawianek".

W piłkę i cerceau grano tylko po południu, przed południem zaś każdy, jak umiał, przygotowywał się do zjedzenia obiadu z apetytem. Niektórzy spacerowali, inni około chińskiej altanki chwyтали nowe melodie lub nowe okresy na tle szumu kasztanów, kwakania żabek drzewnych i łoskotu kijanki uderzającej w płukaną bieliznę. Kwestii nie ulega, że natura w Puławach myśli i wyobraźni przypina nowe skrzydła, rezultat jednak prac

duchowych wykonanych w tym miejscu zdaje się być taki, że po upływie miesiąca krytyk wyglądał jak spuchnięty, jeden z kompozytorów nauczył się grać w piłkę, a drugi tak polubił gaje i ptaszki, że na ołtarzu sztuki obok nut i fortepianu postawił myśliwskie buty.



III

Droga na wzgórze pod korpus pałacu. - Placyk Tankreda. - Aleja główna. - Drzewa pamiątkowe. - Miasto i przyroda, klomby i turyści. - Sybilla. - Aleja pocięta. - Domek gotycki. - Zabawy gości. - Mostek nad głęboką drogą. - Uliczka do wodozbioru. - Spadek. - Pochyle drogi. - Głosy natury. - Groty. - Domek pustelnika, mur nad łachą. - Ogród zdziczały. - Jaką ma duszę drzewo i co będzie z ogrodem? - Kamienny most, Marynki.- Łacha i pływanie po niej.

Od chińskiej altanki goście zwiedzający ogród puszczają się zwykle drogą dolną wzdłuż lachy. My zrobimy inaczej: powrócimy do angielskich schodów i wejdziemy na górę łagodnie pochyłoną ścieżką, która biegnie na prawo. Poprzedza nas grupa osób nieco zalatujących miastem. Państwo ci przyjechali wczoraj o szóstej wieczorem i mają śmiały zamiar w ciągu dwudziestu czterech godzin zbadać gruntownie Puławy, Kazimierz, Janowiec i wszystko, co w nich jest godnego uwagi.

Orszak prowadzi ciocia okazująca wiele czułości dwóm związanym ze sobą pieskom. Za nią podąża eteryczna siostrzenica, która od piętnastu lat zdaje się wahać między zamążpójściem i krótką sukienką, a wreszcie wielbiciel panienki, któremu bujna łysina i katar kiszek nakazują już pomyśleć o ustaleniu losu.

- Ach! jakie śliczne dęby! - woła młoda osoba.

- Przecudowne! - odpowiada konkurent.

- A jakie grube...

- Nadzwyczajnie!...

- Chciałabym tu leżeć, gdy umrę ... Konkurent robi minę odpowiednią do chwili.

- Mimi! Bibi... - odzywa się ciocia. - A co za figlarne psy! One nigdy nie chodzą drogą prostą, tylko zawsze wybiegają na najtrudniejsze przejścia!

Istotnie, drożyna idzie ponad wzgórzkiem mającym około dziesięciu stóp wysokości i tak płaskim, że mógłby nań wjechać karawan pierwszej klasy bez zakłopotania nieboszczyka.

Ponieważ jednak cioci i jej pieskom przejście to wydaje się bardzo trudne, młoda osoba więc uważa za niezbędne obdarzyć nieograniczonym zaufaniem łysiego wielbiciela swych pełnoletnich wdzięków.

- Czy pan uwierzy, że mi się w głowie kręci? - szepcze panna z tkliwym wejrzeniem, czepiając się dosyć kołkowatej ręki dandysa.

Z jej strony był to dziewiczy fortel, który jednak mógł mieć bardzo smutne następstwa.

Kataralny bowiem posiadacz jej serca sam dostał prawdziwego zawrotu głowy i tym jedynie krzepił swoją odwagę, że Opatrzność dała mu prawe ramię właśnie od strony spadku, nad którym z konieczności musiała iść nadobna jego towarzysza.

W tej chwili od frontu ukazuje się jeden z miejscowych oficjalistów, który zobaczywszy pieski, bez ceremonii wbiegające pod niebezpieczny wzgórek, mówi:

- Państwo czytali, co po trawnikach chodzić nie wolno? ... A państwo wszystko tak i chodzą.

- Ależ to pieski, panie! - woła strwożona ciocia. - Bibi! Mimi! ... Mój Boże! ja zawsze miałam przecucie, że one mi kłopotu narobią.

- Mnie wszystko jedno, kto chodzi, a w tym rzecz, co chodzić nie wolno! - tłumaczy legalny oficjalista.

Szczęściem, pieski wbiegły już na ścieżkę, ukazując towarzystwu figlarne oczy i długie czerwone języki. Potem wszyscy przepadają między klombami.



Drożyna prowadzi pod tę właśnie część pałacu, którą widzieliśmy z łączki. Zielone wzgórze ujęte z obu stron w ściany piętrzących się drzew wymyka się spod naszych stóp i z kilkunastołokciowej wysokości jak szmaragdowy wodospad pędzi ku łasze. Na chwilę niknie pod jej ciemnobłękitnym zwierciadłem i wypływa z drugiej strony już jako łąka zamknięta aleją wierzbową.

Między wzgórzem i łąką, gdzie dziś na trawniku jak świeży omlet bez konfitur leży okrągła kępka żółtych kwiatów, stała niegdyś grupa: Tankred poznający zabitą przez siebie Kloryndę - z tym dwuwierszem:

Giniesz, piękna Kloryndo, od miłosnej dłoni,
A cny Tankred nad własnym zwycięstwem łzy roni!

Wzgórze, drzewa, woda i łąka, a między nimi zakłęty w rzeźbę promień geniuszu Tassa!... nie jestże to ładna całość? Oglądasz każdy szczegół krajobrazu, a nie poprzestając na własnych oczach otwierasz jeszcze lunetę, jakby to optyczne narzędzie nawet przeszłość zbliżyć i uwidocznic mogło.

Około placu Tankreda ktoś sterczy. Wpatrujesz się lepiej ... Turysta, który ciebie znowu ściąga z wyżyn zachwyty za pomocą podwójnej lornety. Niebawem znika on i po kilku chwilach staje przy tobie na wzgórzu znowu z lornetą przy oczach.

Napatrzywszy się mówi:

- A co, panie, może niepiękne?

Mówi to tak, jak gdyby sam był twórcą krajobrazu.

- To, panie, rzecz!... to, panie, jest na co spojrzeć!... O, ja się znam na tym!...

- Malarz? ... nie malarz!... - myślisz sobie, a w końcu pytasz:

- Pan dobrodziej podróżuje?

- Nie, panie, ja jestem tapicer.

I kłania się prawdopodobnie Europie jak Kolumb, kiedy Amerykę odkrył.

Jakkolwiek tapicerów także Bóg stworzył, chowasz jednak lunetę do kieszeni i uchodzisz z tych miejsc lękając się, aby we wspomnieniach nie skojarzyły się z ideą materacy. Droga biegnie początkowo wprost, później rozwidla się. Wybieramy lewą jej odnogę i tuż pod ścianą pałacu wchodzimy do najbardziej ucywilizowanej alei.

Podobną ona jest do głównego traktu w naszym Saskim Ogrodzie z tą różnicą, że zamiast chorowitych kasztanów posiada zdrowe i dorodne lipy. Znajduje się tu kilka ławek szczerniałych od deszczu, a jednak licznie obsiadanych.

Jeżeli kiedyś znęca się do Puław warszawiacy, niezawodnie w tej alei mieć będziemy codzienną wystawę płodów krajowych, budkę z wodą sodową, kiosk z gazetami, filią cukierni p. Janowskiego z kawą po 40 groszy i kurz nad drzewami.

Dziś jest tu dosyć cicho i chędogo. Trawniki po obu stronach, za nimi klomby, a na prawo kilka czubatych jodeł, które, skądkolwiek spojrzeć na nie, wyglądają tak, jakby otwierały do uścisku swoje kudłate ramiona.

Właśnie na prawo, obok jodeł, stoją nasi znajomi: ciocia z pieskami i siostrzenica z konkurentem. Wszyscy trzymają szkła przy oczach, a ciocia mówi:

- Właśnie to oto drzewo ... Zdaje mi się, że to ... sadziła nieboszczka Klocia. Pamiętasz?...

- Coś... jak przez mgłę... - odpowiada dziewczica oblana barwą jutrzeńki.

- Jak to przez mgłę? ... Miałas przecie wtedy lat ośmnnaście?

- Cioteczko! chodźmy już raz do Sybilli - przerywa zakłopotana piękność, nie patrząc nawet na złowrogie drzewa mające przynajmniej ze dwadzieścia lat wieku.



18 i 20 wedle zwykłej arytmetyki formują 38. Wypadłoby stąd, że dziewczica tyle wiosen pamięta, choć nigdy temu nie uwierzy jej wielbiciel, według którego 18 i 20 równają się 22. Taką jest matematyka zakochanych!

Historia tych nieszczęsnych drzew, z których każde stanowi metrykę, jest bardzo zajmująca. W Instytucie Wychowania Panien był zwyczaj, że uczennica kończąca zakład z cyfrą (najwyższa nagroda), własną ręką, pod oknami pałacu, na prawo od alei lipowej zasadzała drzewko, na którym zawieszano tabliczkę z jej nazwiskiem. Dziś z młodych latorośli porobiły się już drzewa, z dziewczątek - żony i matki. Zdarzało się też, że niektóre sadzonki poschły, niektóre dziewczątka w kwiecie wieku pomarły - z pozostałych zaś drzew zdjęto z czasem nazwiska ich piastunek i zawieszano botaniczne recepty.

Jest południe, dzień gorący, ogarnia nas znużenie... siadamy na ławce.

Przywykły do miasta człowiek z trudnością wchodzi w zażyłość z naturą. Tam znał wszystko: powybijane chodniki i zasłaniające niebo domy ciężkie o barwach wyblakłych, czerwone nosy dorożkarzy i łoskot ich powozów, pył, który mu życie wyjada i rozgorączkowane tłumy pędzące korytami ulic jak mętna rzeka w czasie przyboru. Tu zaś wszystko nowe tak dalece, że przez długi czas nie umie zdać sobie sprawy z kształtów, niepokoi się ciszą, na odgłos szmeru chwyta ręką za kieszeń. Zamiast brukowców widzi trawniki, zamiast gmachów - klomby, zamiast ludzi, których życie miejskie wyrzuca rano z łóżek, w dzień poniewiera po ulicach, a w nocy ze snu budzi - spotyka roje niefrasobliwych ptaków i balet chudych koników polnych. Oddycha też swobodniej, nie potrzebując z tłumem suchotników walczyć o kroplę powietrza.

W całej masie ziemi, nie tylko w duchu ludzkim istnieje pociąg do otaczającej nas nieskończoności. W dzieciństwie świata ku słońcu i gwiazdom dźwigały się łańcuchy gór; dziś w epoce starości, w tym samym kierunku wznoszą się lasy i klomby. Oto i ten był kiedyś równiną, na którą uprzejmy wiatr, ptastwo i ręka ludzka rzuciły nasiona drzew. W roku następnym tchnienie ziemi wyparło ku niebu pierwsze gałązki i odtąd cał po cału wznosi się ciżba ich podobna dziś do wzgórza.

Trudno opisać, ile fantazji tkwi w budowie dźwigniętej ciężką pracą kilkudziesięciu drzew i krzaków. Jakie tam dziwne szczyty, lubieżnie zaokrąglone spadki, w których nagle ukazuje się snop światła tysiącem tonów odbijający się w każdym załamku i krzywiźnie. Klomb jest czymś środkującym między pasmem gór i obłokiem, jak obłok środkuje między rzeczywistością i marzeniem. Z dałą patrząc na kępę drzew, widzisz zieleń zbitą, formy ściśle określone, jakby wykute w kamieniu. Zbliżasz się o kilka kroków i otóż nowa skała

rozplynęła się w coś na kształt muślinu, formy poprzednie znikły, a miejsce ich zajęły widoki nowe. I tak coraz dalej i dalej jak w kalejdoskopie albo śnie gorączkowym, kiedy gaśnie dziesięć obrazów w tym czasie, gdy na próżno usiłujesz zapamiętać jeden.

Człowiek z drzewami stanowi doskonałą harmonię. One go żywią zwykle bez ujmy dla siebie, a co ważniejsza: pomagają oddychać. Podczas gdy cały świat zwierzęcy co chwilę pochłania masę tlenu wyrzucając z siebie truciznę - kwas węglany, rośliny pochłaniają kwas węglany i rozkładają go, aby zwrócić tlen atmosferze. Dlatego tak nas przytłacza miasto pełne kwasu węglanego i tak dobrze jest w lesie, gdzie wszyscy jego mieszkańcy wyścigają się w służeniu nam, a nikt nas nie wyzyskuje.

Tłum wrażeń zewnętrznych, spadających na nas w mieście, mąci duszę i robi ją podobną do głębin rozkołysanej przez burzę. Zamykasz się, zatykasz uszy, wszystko na nic! na dnie zostaje odmet. Każdy fakt (a ileż ich jest!) zamiast "podrażniać ośrodkę nerwową", jak mówi fizjologia, rani tylko mózg, który aby zabić się, innego otoczenia i dłuższego wymaga spoczynku. W końcu, gorycz napęła cię po źrenice. Widzisz świat w kanwach czarnych,



powietrze dusi cię i wysusza, hałas torturuje. Przyjaciele obojętnieją, w twarzach obcych upatrujesz zdradę, a serca nikczemne olbrzymieją ci w oczach tak, że zdaje ci się, iż podłość wyciekająca z nich, wkrótce napęlni wszystkie rynsztoki i ulice miasta.

O, jakże miło uciekłeś z podobnych zaduchów ocknąć się pod tym klombem, gdzie nic nie przypomina dni wczorajszych. Duch ucisza się, fale jego opadają i rozlewają się w jedno wielkie, spokojne zwierciadło, w którym przegląda się niebo, drzewa i ten oto motyl kołyszący się na białych skrzydłach...

Cóż, kiedy i tutaj dolecieć cię może pytanie:

- Franiu! czy już zjadłeś śliwki?

Na końcu alei, za dwiema starymi lipami, widać kratę z żelaznych włóczni i szerokie piaskowcowe schody, a na szczycie ich małą okrągłą wieżę otoczoną wieńcem tęgich kamiennych słupów, na których wspiera się dach półkulisty. Jest to Sybilla.

Niegdyś była ona świątynią historycznych pamiątek. Tu leżały berła i korony królów, klejnoty królowych, buławy wodzów, zbroje rycerstwa. Dziś nie ma nic.

Podróżni nie obeznani z historią Puław co najwyżej zachwycają się piękną i dziwną formą Sybilli, nazywając ją niekiedy gotyckim domkiem, z którym nie ma nic wspólnego. Gdy kratą otwarta, wejść można na schody Sybilli i okrążyć ją dokoła po ganeczku, między wieżą i kolumnami zawartym. Z ganku tego dopiero ocenia się prawdziwą wysokość gmachu, który dźwignięto z przepaści na trzydzieści kilka stóp głębokiej. Do podnóża jego tuli się kilka ogromnych głazów narzutowych, całość otaczają wielkie i gęste drzewa, pomiędzy gałęzmi błyszczą jasna powierzchnia łachy.

Jeszcze przed dziesięcioma laty nade drzwiami Sybilli istniał napis PRZESZŁOŚĆ - PRZYSZŁOŚCI, z którego

i śladu nie zostało. Dziwnie sprawiedliwa logika faktów! boć przeszłość nie zostawia przyszłości pustek, z których nawet pajak ucieka.

Pod salą górną znajduje się dolna, gdzie złożono resztki gruzów, które niegdyś domek gotycki ozdobiły. Drzwi w niej wysokie, żelazne, u dołu nadłamane przez ciekawych; trochę mroku wpada przez wąziutkie okienka; prostokątne słupy, wewnątrz stojące, mają pozór pomników, echo stąpań jękliwie rozlega się w atmosferze wilgotnej, grobowej. Wchodzi się tu tylko przypadkiem, wychodzi z głębokim smutkiem.

W nocy, widziany z dołu, gmach ten wygląda jak olbrzymia korona. Niebieskawy blask księżycy ledwie przeciska się między czarnymi konarami drzew i nie znajdując okna, które by

go przyjęło, ucieka odepchnięty przez kamienną ścianę wieży, połamany przez ogromne cienie kolumn, które zdają się mówić: tu nie wejdiesz!...

Choć już wrzesień, między krzakami iskrzą się świętojańskie robaczki niby echo gwiazd rozrzuconych dokoła tajemniczej budowli, której sylwetka na ćwierci nieba czernieje. Na drzewach liście obwisły, marzą ptaki schowawszy głowy pod skrzydła, wiatr zatrzymał się gdzieś między obłokami i tylko śpiąca ziemia owiewa nas ciepłym, ledwie dającym się wyczuć oddechem. Jest to chwila posepna, w której duchy mają zwyczaj gromadzić się około miejsc, gdzie były przedmioty używane przez nich za życia ... Uciekasz stąd lękając się usłyszeć westchnień umarłych albo między kolumnami ujrzeć na ganku lśniąca broń szylkwacza, który pilnuje pustek.



Świątynia Sybilli wg Aleksandra Gieryskiego.

Na prawo od Sybilli, obok cienkiej, *żelaznej* poręczy stoi kilka ław piaskowcowych, na lewo ciągnie się inna aleja niby pasaż uformowany z lip, którym kunszt ogrodniczy powyginał wierzchołki. Cienia tu tyle co w piwnicy, a gości sporo, niektórzy bowiem lubują się tym zakątkiem.

Rodzicom, którzy z wielką sztuką wychowują dzieci i w ogóle wszystkim, którzy radzi by naturę ludzką urabiać wedle swego widzenia rzeczy, nagiąć do swoich ideałów czy urojeń, radzę, aby uważniej rozpatrzyli się w tej alei. Drzewa jej prawda że powyginały się jak im kazano, ale jakież są nędzne! Kiedy każda inna lipa rosnąca swobodnie tyje jak szafarka i ugina się pod brzemieniem liści i kwiatów, te biedaki mają pnie cienkie, konarów niewiele, liści tyle co włosów na łysej głowie i pełno chorobliwych narośli. Są to uosobienia . rozmaitych blednie, skrufułów, angielskich chorób i innych przypadłości trapiących wygorsetowany ród ludzki. A jak się robaki prędko mnożą, jak łatwo próchnieje takie biedactwo!...

Właśnie obok tego szpitala roślin, na lewo, stoi gotycki domek rzucający się w oczy przede wszystkim czerwoną barwą. Budynek to niewielki, lecz z każdej strony inakszy i ślicznie wygląda. Z dwu stron otacza go podsień przykryta dachem wspartym na kolumnach tworzących ostrołuki, z trzeciej balkon na sześciu słupach prostych. Okna i drzwi prawie wszystkie w stylu gotyckim.

Mam właśnie przed oczyma książkę pt. "Poczet pamiątek zachowanych w domu gotyckim", która świadczy, że jeszcze w roku 1828 pałacyk ten stanowił muzeum historyczne, ogólnieludzkie. Pamiątki dzieliły się na dwie kategorie: jedne wmurowane były w zewnętrzne

ściany budynku, drugie znajdowały się w komnatach. Szczątki znakomitych gmachów, płaskorzeźby, urny, pomniki grobowe, kule z rozmaitych placów bitew, kamienie ze sławnych miejscowości przytwierdzano do ścian zewnętrznych jak muszle do ozdobnej szkatułki Portrety zaś, rękopisma i listy tudzież inne pamiątki po ludziach znakomitych, zbroje, wyroby dawniejszej sztuki i przemysłu, narzędzia ludów dzikich i tym podobne osobliwsze lub kosztowniejsze szczegóły umieszczano w pokojach. Rzeczywiście, kto by obszedł oryginalny ten domek i dowiadywał się bliższych rzeczy o wspomnianych osobach lub miejscach, niewątpliwie lepiej nauczyłyby się historii aniżeli z kursów gimnazjalnych. Tu była cząstka drzewa posadzonego przez Szekspira - a kto ten Szekspir? ... czym on handlował? ... Ówdzie kamyk z więzienia Tassa - a czym się trudnił Tasso i za co był więziony? ... Tam chleb i płótno z Pompei - cóż znowu za Pompeja? ... Gdzie indziej ułamek z grobu Łokietka - a co to za ptak ten Łokietek? ... Proszę pamiętać, że było z górą 1.500



numerów podobnych osobliwości, jeżeli nie więcej, i proszę zapytać, o ilu się to rzeczach przy okazji dowiadywało!

Prawie przez pół wieku domek gotycki wewnątrz stał pustkami, ale za to od dziesięciu lat stracił nawet zewnętrzne ozdoby.

Wydarto je, pogruchotano i wyrzucono jak śmiecie: ławę wezuwiuszową, starorzymskie dzbany, cegły z Bastylli, kawałki skały Tarpejskiej, nagrobek Adama Kochanowskiego, kule spod Wiednia, Raszyna et cetera.

Dwie aleje, to jest jedna prowadząca do Sybilli i druga pogięta, są najruchliwsze i najludniejsze w ogrodzie. Tu dziewczynki (zupełnie jak u nas) biegają za obręczami lub skaczą przez sznurki. Tu na kamiennych albo drewnianych ławach gromadził się zwykle bukiet dam otoczony płótkiem mężczyzn. Tu młode panny i przyfastrygowani do nich kawalerowie puszczały się niekiedy (pod okiem starszych) na pełną wdzięku grę w cerceau, przy czym płeć męska uwielbiała często dość problematyczną zręczność żeńską, żeńska tolerowała niezgrabność męskiej, wszyscy zaś okazywali sobie bardzo dużo niezbędnej pobłażliwości. Tu wreszcie samotnicy lub samotnice, pozbawione towarzystwa wielbicieli swych słodkich przymiotów, wystawiwszy grzbiet na dobroczynne wpływy piękności natury tonęli w bibulastym świecie romansów.

Osoby poważniejsze bawiły się rozmową o sztuce, literaturze i innych ładnych rzeczach, za pomocą których ludzkość tłumi w sobie wrodzony popęd do ziewania. *Ze zgrozą* dostrzegłem, że na tych wyżynach duchowych najłatwiej męczyli się i dostawali zawrotu głowy mężczyźni. Z początku rozsypani między damami, po półgodzinnych zachwytach zbijali się stopniowo w jedno kółko, które nieznacznie odsuwało się od ławek ku środkowi alei. Jaki taki rzucał ukośne i tęskne spojrzenie na jednego z panów, który w męskim towarzystwie jaśniał dowcipem, w tej chwili zaś był smutny i zgnębiony. W końcu dystans między obu płciami zrobił się tak wielki, że damy poczynają już mówić o ospie wietrznej, bólu gardła i innych niedyspozycjach dzieciennego wieku, mężczyźni zaś ocierali czoła z potu wzniosłości i znikali na skrócie alei.

Następuje chwila uroczystej ciszy, wszystkie oczy zwracają się na pana X., który zabiera głos. - Pamiętam - mówi - wsiadłem raz do omnibusu na Krakowskim Przedmieściu. Na dworze było już ciemno. Patrząc, w rogu pierwszego przedziału siedzi jakaś facetka... Władziu! ... idź naprzód!...

Władziu jest to chłopczyk, któremu według litery i ducha praw nie wolno jeszcze ani czynem, ani duchem wkraczać w dziedzinę atrybucji osób pełnoletnich. Odchodzi więc bokiem, uderzając się ręką w czapkę i zakreślając łuk, który mógłby świadczyć o tym, że Władziowi

już cięży małoletność. W gruncie jednak rzeczy miny jego nie tyle zdradzają popęd do wycieczek, ile raczej kłopot: co zrobi ze sobą, gdy opuści grupę, której pilnował dotychczas?

Do dzieci iść nie chce, w cerceau grać nie lubi, do dam nic go nie ciągnie, do samotności czuje wstręt... W takich pograżony myślach tkwi na miejscu, dopóki go kto nie zawoła i nie posadzi na ławce.

Przez ten czas Wandzia z Ludkiem próbowali bezskutecznie wejść na szczyt Sybilli. Staś trzy razy zleciał z górki; Dzidzia zjadłszy ósmy podwieczorek *kazała wziąć* się na ręce, a Marylka wszystkim obecnym dała buzi bez ściśle oznaczonego powodu.

Na końcu alei z wywichniętymi członkami widać gmach biały, ozdobiony posągami jakiegoś młodzieńca w neglizie klasycznym. Budynek ten to oranżeria, do której dostać się można tylko przez... zamkniętą bramę, po murowanym łukowym mostku przeskakującym wąwozik



zwany Głęboką Drogą. Ponieważ wrota szczelnie są zawarte, płeć nadobna więc koniecznie chce zwiedzić oranżerię. Prastare dzieje zakazanego owocu!

Pragnąc ukoić niecierpliwość dam, jeden z młodych ludzi opowiada wzruszającą historią, jakby z ballady Szyllera wystrzyżoną. Kiedyś (ja nie wiem kiedy!) przez mostek ten (na półtora piętra nad bruk wzniesiony) przechodził jakiś hrabia w towarzystwie cudnej hrabianki. O czym mówili? któż zgadnie, dość że na środku mostu (punkt najwyższy) piękna hrabianka upuszcza chusteczkę do nosa nad Głęboką Drogę...

(Chwila milczenia, młody bowiem człowiek zna efekta antraktów) .

- I cóż?... i cóż? ? pytają damy.

- Hrabia skoczył za chustką! - konkluduje młody człowiek kładąc (jako rzetelny demokrat) akcent goryczy na wyrazie: "hrabia".

Śliczne towarzyski nasze spod ciemnych rzęs obrzucają wzrokiem stojących obok mężczyzn. Najmłodszy mierzą spojrzeniem wysokość mostu, dorośli cofają się w tył, prawdopodobnie dlatego, aby dać miejsce do rozmachu temu, który by za wyrzuconą chusteczką chciał skoczyć w wąwóz.

Tempora mutantur et nos mutamur in illis! Piękna to rzecz zaprawdę! skoczyć za chusteczką z piętrowej wysokości (z ilu by to pięter obowiązywał skoczyć człowiek, gdyby mu na przykład tuzin obrusów rzucono?...) piękna to rzecz, lecz i... niezdrowa! Szczęściem znajomość anatomii chroni nas od podobnych nadużyć. Skoczysz, rękę albo nogę złamiesz, a może ci jeszcze co w krzyżu pęknie? Miły interes, dla połysku czarnych lub niebieskich oczu dostać się do szpitala, ulegać nastawianiu członków, smarowaniu i w końcu - wózkami do śmierci jeździć na koszt przytułku dla osób dotkniętych paraliżem!

Ach! niezbyt dawno jeszcze jakiś inny był świat. Ludzie młodzi nie umieli anatomii, za jeden uśmiech gotowi byli skakać z pieca na łeb i w ogóle posiadali jakieś twardsze kości. Za to my mamy rozwagę. Panie żałują puszczać chustek na bruk, ażeby się nie powalały, a młodzież zna cenę swego karku i nie narazi go nawet dla sztuki żyrardowskiego płótna. Chociaż - dajcie pokój! widziałem ja i takich, którzy potrafiliby skoczyć za chustką, byle, nie każdą i - w potrzebie tej - rozbić się na maślanę.

Od tego punktu radzę skrócić na lewo i posuwać się wzdłuż muru. O kilkanaście kroków za mostkiem stoi wspaniała niegdyś brama wjazdowa, o murowanych słupach, rzeźbionych kapitelach. Dziś między słupami jej szarzeją wiecznie zamknięte wrota, droga trawą i krzaczkami zarasta, a z walącego się kapitelu wyskakuje jakieś kilkoletnie drzewko niby posłaniec ogrodu, który wygląda, czy znowu kiedy nie zajadą goście w te strony...

Jest to już dzika część parku. Drzew tak pełno, że trudno uchwycić indywidualność każdego. Tu klony walczą o miejsce z lipami, brzoza ze świerkiem, siwa sokora z krzakami bzu lub wilczym łykiem. Aż ciemno, taki natłok, aż gdzieś w kącie ptak narzeka, że zgubił drogę do gniazda.

Około wodozbioru, który jest zwykłym, białym i dość posępnym budynkiem między krzakami ukrytym, na lewo ode drogi *znaleźć* możesz niewielką łączkę, której jasność przyjemny tworzy kontrast z cieniem ulicy. Jest tam brzoza, akacja, parę jodeł, parę pni wywróconych i krzaczek białodrzewu, trawy dosyć i mnóstwo czerwieniejących już listków poziomek. Istna sielanka motyli, między którymi wałęsa się kilku żołnierzy pieszej baterii palących obrzydliwy tytuń.

Za starą szopą, powoli opadającą z dachówki, stoi brama na główny dziedziniec wiodąca, a na szczycie jej słupów dwie pary wesołych dzieci z poobijanymi nosami. Droga wprost bramy na lewo wiedzie między klombami do gotyckiego domku tonącego pośród ciemnej zieleni. Już w tej stronie nie zobaczymy nic wybitnego; poznaliśmy cały prawie ogród górny.



Wiemy, że Sybilla i pałac Instytutu stoją na wzgórzu, które nagle spada ku łąsce. Otóż najciekawsza część spadku mieści się na przestrzeni między obu tymi gmachami zawartej. Od frontu pałacu, z tej właśnie górki, skąd widać część łąchy i placyk niegdyś Tankreda, idziemy nie tą dróżką, co do głównej alei prowadzi, ale wprost, a potem pierwszą drogą na prawo. Ścieżyna ta pochyła się łagodnie i ginie w obłoku liści. Przebiegłszy kilkanaście kroków skręca się nagle i znowu pochyło na takiej samej przestrzeni biegnie do nowego zakrętu i nowej ścieżki spadzistej. Są to tak zwane Drogi Pochyłe, które dziś przechrzczył ktoś na Schody Achillesa. Dróżki te dosięgają poziomu ogrodu dolnego i tworzą gzygzak formy, złożony z siedmiu czy ośmiu kawałków.

Ponieważ podobny system ścieżek łatwo by się obsypał i zniszczył, utrwalono je więc ongi za pomocą podmurowania. Kiedyś musiało to być miejsce otwarte, dziś pną się tam kilku i kilkunastoletnie drzewka, nie licząc krzaków. Stare cegły okrywa pleśń, miejsce spajającego wapna zajął mech, trawa i inne zielska o więcej lub mniej demokratycznych nazwach. Ziemny nasyp ryją krety, na ile im sił starczy, po kamykach suną pełne filozoficznego ducha ślimaki. W cichy, pogodny dzień ustronie to należy do najpiękniejszych. Jesteś tu jakby pograżony w chmurze, składającej się zamiast z pęcherzyków pary, z liści rozmaitej formy. Nie spłoszone ptaki kwilą, gwizdzą, zapytują lub kłócą się w językach przypominających szczebioty niemowląt. Wtórjuje im nieustanny brzęk różnej, wielkości muszek jęczących niby metalowe struny arfy - plusk kaczkę w wodzie i tysiące innych szelestów, których przyczyny ani miejsca nie podobna oznaczyć. To natura rozmawia. Liść donosi liściowi, że potrafi! go jakiś skrzydlaty furfant - szumią konary w braterskich uściskach wiatru i z rozpaczliwym, choć ledwie dosłyszczanym traskiem boleje nad sobą martwa, opadła gałązka przed pochyloną i żółkniejącą trawką. A tam znowu bezimienne ziele jakieś cichym drzeniem donosi o swoim na świat przyjściu i chwieją się podobne do kaczep stopy liście klonu niby klawisze niewidzialną dotykane ręką. Tylko samotny, nadąsany grzyb milczy, troskliwie zasłaniając żółtym kapeluszem domowe sprawy.

Z każdego kamyka, grudki ziemi, liścia, owadu i ptaka wylewają się kaskadą promienie nieśmiertelnego, wiecznie jędrnego ducha świata. Pewny jesteś, że czy opuści żdźbło trawy, czy huśtającego się na niej komara, czy twe własne przepelnione nim serce, czy całą w końcu planetę, żyć będzie zawsze ten sam, choć w innych formach i okolicach przestrzeni!

Świat jest gmachem, którego styl, plan i cel istnienia odgadnąć się da tylko przez ogarnięcie całości. I któż nam winien, że nie dostrzegamy ogółu zagrzebani w rumowisku pojedynczych cegieł?

Od dolnego kresu Pochyłych Dróg w stronę Sybilli wiodą dwie ścieżki: jedna nad samą łąką, druga na spadku wzgórza. Przy tej ostatniej, wznoszącej się, leżą groty.

Pełni gustu twórcy puławskiego ogrodu dość wcześnie spostrzegli się, że okolicy tutejszej brakuje skał i piękności związanych z nimi. Aby choć w części zaradzić niedostatkowi, zgromadzili około Sybilli kilka olbrzymich głazów, a w stromym spadku wybudowali groty z opoki. Groty owe, jeszcze przed kilkunastoma laty bezpiecznie zwiedzane, posiadały parę wejść. Droga w nich zginała się, podnosiła, opadała i rozwidlała na kilka gałązek, jedno czy dwa okrągłe okienka w połowie rozwalone i zielskiem zarosłe przepuszczały trochę wątpliwego światła. Najniższym punktem grot była kaplica wielkości sporego salonu, na piętro głęboka. Jedyłą jej ozdobę stanowiły ławy kamienne konstrukcją przypominające czasy Pelazgów. W podziemiach tych odbywały się za księstwa Czartoryskich świetne przyjęcia i zabawy.

Dziś skutkiem wieloletniego wpływu wilgoci opoka zmiękła i poczyna się kruszyć; wielkie kamienie i całe stopy ich odpadają z sufitu i ścian na klepisko kurytarzy. Wejścia przed



dziesięcioma laty zasypano, a potem znowu odgrzebano, skutkiem czego groty zrobiły się podobnymi nieco do kryjówek zbójceckich lub do rozwalonej kopalni kamienia wapiennego. Wiedząc, jak pieczary te wyglądały przed 20 laty, uważam, że spacerować po nich dziś są trochę niebezpieczne. Zapewne, kogo ciekawość pali, może tam wejść, byle nie robił zbytniego hałasu i zostawił jakiego przyjaciela zewnątrz na straży. Trafiwszy bowiem na złą godzinę, może być zabitym, a co gorsza żywcem zamurowanym.

Gawędy o wielkich rozgałęzieniach tych piwnic, o połączeniu ich z Kazimierzem nie mają żadnej podstawy.

Spadek wzgórza, w którym pomieszczone są groty, tworzy miejscowość romantyczną i dziką, naturalnie w miniaturze. Droga biegnie pod ścianą prawie pionową ziemi sypkiej, nad przepaścią także pionową i sypką. Szkoda tylko, że i ściana, i przepaść mają zaledwie po kilkanaście stóp wysokości i pozwalają wchodzić, schodzić ze siebie równymi nogami, największe zaś niebezpieczeństwo ich polega na tym, że można surdut powalać. Z końca drogi tej jest ładny widok na Sybillę, która spoza klombów ukazuje się nagle w całej wysokości. Niemniej ciekawą jest droga dolna. Ciągnie się ona pomiędzy ogromnymi drzewami, mając na prawo łąkę, na lewo groty. Gdzie ze wzgórza osypała się ziemia, widać nagie korzenie powyginane jak węże idące szukać żeru. Jeden z nich spotkawszy na drodze kamień, ścisnął go odnogami jak jeździec cwałującego konia. W innym miejscu runęło olbrzymie drzewo, na którego pniu, przynajmniej ze cztery łokcie grubym, rosną bujne zioła, a nawet parę młodziutkich akacji.

W tym miejscu, gdzie się kończą groty, stoją jeszcze ceglane zwaliska małego domku pustelnika. Za czasów książąt mieszkał tu podobno jakiś odludek, etatowy pustelnik, którego bogobojność polegała na karmieniu i pilnowaniu łabędzi pływających po łasze.

Od tego punktu na przestrzeni kilkudziesięciu kroków ciągnie się mur podpierający wzgórze. Na nim przed dziesięcioma laty znajdowały się wyglądające spośród drzew tablice, pamiątkowe na cześć Karpińskiego, Książnina, Woronicza i innych znakomitości tej epoki. O Piramowiczu powiedziano tam:

„Nie straszyl gniewnym Panem, mowil o laskawym,

Kreślił Boga, którego nosił w sercu prawym.

Nie jestem pewny, czy dziś tablicami owymi nie wybrukowano jakiej obory lub stajni. Tu już jest las, zbiegowisko drzew najrozmaitszych, starych i wielkich, między którymi odznaczają się ogromem sokory. Pień każdej prawie z nich ma kilkanaście kroków obwodu, wierzchołek sięga nieledwie obłoków, z mchem porosłej kory wyskakuje mnóstwo jednorocznych gałązek. Drogi schodzą się i rozchodzą, biegną wyżej i niżej, a wszystkie wśród gąszczów zaniedbane i opuszczone. Nad głową widzisz stykające się ze sobą, jeżeli nie poplątane, konary drzew, między grube pnie ich tłoczą się krzaki gdzieniegdzie zeszyte w jedną oponę giętkimi łodygami roślin pnących się i zasypane ich liśćmi. Cała ta procesja olbrzymów i wyrostków ssie ziemię tak dokładnie, że już obok nich trawka wykarmić się nie może. Promienie słoneczne przeciskają się z trudnością, w powietrzu wisi chłód surowy, ptaki gadają wszelkimi językami, jakby drwiły z jastrzębia, który szybując nad tą głębią zieleni płacze, że mu się do niej dostać trudno.

Niekiedy milknie wszystko, a wówczas z odległości dolatuje cię jakieś śpieszne, pracowite pukanie. To długodzioby, ze szczeciniastymi wąsikami dzięcioł przy pomocy silnych łap i twardego ogona biega jak mucha po ścianie po pniach i konarach drzew, wystraszając z ich szczelin tłuste robaki. Gospodarny ów ptak, jedyny konserwator tej części ogrodu, o nikogo



nie dba, nikogo się nie boi i przy chwalebny zamięrowaniu do swego rzemiosła ma minę dorobkiewicza i aroganta.

Gdy go spłoszysz, odlatuje na najbliższy krzak i najeżony, zaaferowany, całkiem serio krótkimi piskami zdaje się pytać: coś ty za jeden, który śmiesz mi przerywać jedzenie? Dla uspokojenia go pukasz palcem w drzewo. Dzięcioł słuca, głową kręci i wnet przylatuje na dawne miejsce. Potem zabiera się znowu do roboty i wykonywa ją z tak oburzającą efronterią, że miałbyś chęć zwalić go kijem po grzbiecie. Ptaszego wdzięku, ciekawości - nie ma w nim ani za grosz; jest to brutal, który nie zadaje sobie nawet pracy, aby ci powiedzieć: daj mi spokój, bom się jeszcze nie najadł, choć od rana nic innego nie robię!

Nieraz stojąc tu między grenadierami świata roślinnego zapytywałem: czy drzewo ma duszę podobną do zwierzęcej, czy też zupełnie inną? I otóż sądzę, że co do treści swej, składu chemicznego, jeżeli tak mówić wolno, obie one są jednakowe, różnią się zaś siłą i dążnością. Tej na przykład ogromnej sokory dusza ze względu na wymiar i siły swoje mogłaby wybornie ożywiać zwierzę wielkości psa, a już wróbel, który by ją posiadał, byłby genialnym.

Tymczasem duchowi onemu zachciało się gwałtem zdobyć formy kolosalne i otóż wszystkie uzdolnienia swoje i wrażliwość, rozsądek, pamięć, wolę i uczucia skierował do *tego* wyłącznie celu, aby wylepić olbrzymią powłokę doczesną. W tej pracy zagalopował on się tak, że o wszystkim innym zapomniał. Nie dba o stosunki ze światem zewnętrznym ani lubuje się procesami psychicznymi. Powietrzem troszczy się o tyle, o ile mu ono dostarcza kwasu węglanego, promienie słoneczne zrobił mularzami swego gmachu, ziemię, do której przypił się jak pijawka, bez miłosierdzia nurtuje gałęzistymi korzeniami. Toteż nie można dziwić się, że w roślinach prócz niepokohowanej dążności do rozrostu nie ma ani czucia, ani myśli, ani ruchów samodzielnych przynajmniej w tym stopniu, który by pozwolił nam je ocenić.

Podobne zjawisko zanikania wszelkich uzdolnień wobec popędu do tuszy widzimy w zwierzętach karmionych na opas, ludziach, którzy zakochali się w nabytkach materialnych i społeczeństwach, które poza granicami fizycznej wielkości nie pragną niczego więcej. Rozpatrując się w tej części ogrodu nie podobna uniknąć pytania: co będzie z nią za lat kilkadziesiąt? Co będzie, gdy ścieżki krzakami zarosną, młode drzewa postarzejają się,

zgrzybiałe straciwszy korę obumrą i poczną świecić jasnopopielatym szkieletem, dopóki ich wiatr albo siekiera nie obali. Praca ludzka mogłaby istnienie ogrodu tego przedłużyć do nieskończoności, ale pracę tworzy kapitał, a kapitału Instytut dzisiejszy nie posiada nawet na rzeczy niezbędne. Gdyby w łonie akademii rolniczej powstał jakiś komitet czuwający nad zachowaniem i upiększeniem ogrodu, może znalazłyby się i fundusze ze składek gości zwiedzających Puławę. Ale czy Instytut zdobędzie się kiedy na krok tak heroiczny? ... Jest rzeczą prawie niezawodną, że Puławy i śliczne ich okolice ściągają będą podróżnych i przysparzać dochodu miejscowej ludności. W interesie jej zatem leży uchronienie ogrodu od upadku, który już dziś przewidzieć można. Ale kto się tym zajmie i w jaki sposób? ... odgadnąć trudno. Będzie to jednak zabawne wydarzenie, gdy piękna ta oaza roślinności, nad założeniem której wiek pracowano, zmarnieje pod okiem paruset agronomów i leśników mających podnieść, odnowić i upiększyć terytorium całego kraju. Wypadłoby stąd, że kilku magnatów więcej zrobiło dla Puław aniżeli kopy uczonych.

Wszystkie dróżki, biegnące od strony Sybilli, chińskiej altany i alei pogiętej, schodzą się na moście kamiennym rzuconym przez płytki i dość brudno wyglądający wóz. O kilkanaście kroków za nim widać już mur obwodowy, a przy drodze wiodącej do łąki - wyschły i wałący się wodozbiór czy wodotrysk w formie kwadratowej kolumny, obok której stoi piaskowcowa wanna.



Przez wykutą w murze furtkę wychodzi się na obszerny dziedziniec pałacyku marynkowskiego. Niewielki on jest, ale bardzo ładny, szczególnie od strony łąki. Kiedyś wewnątrz jego zdobiły stiukowe ściany, mahoniowe wysokie drzwi, kominki z kararyjskiego marmuru, nie licząc ruchomych szczegółów. Później jednak został straszliwie zaniedbany i począł chylić się do zupełnej ruiny. W bocznych pokojach mieszkali stróże i ich dobytek, sala główna była podobną do obory; szczęściem Instytut zajął pałacyk na mieszkania dla ubogich studentów i tym sposobem uchronił go od zagłady.

Ustronie to i dziś jest malownicze. Ma z prawej strony ogród, z lewej budynki folwarczne i grupę kilkudziesięciu sosen, z frontu dziedziniec, a z tyłu łąkę i piękny gaj na kępie. Jedna tylko rzecz szpeci uroczy ten obraz, a mianowicie energiczna woń panująca w kącie przyległym ogrodowi, dzięki której sielanka przemienia się w kordegardę.

Nad pałacem marynkowskim stał niegdyś napis: "Iste terrarum mihi praeter omnes angulum videt". Zmazano go prawdopodobnie z uwagi, iż tak mocno pachnący i odrapany zakątek nie może podobać się bardziej niż wszelkie inne. Logika faktów jest tak potężna, że ulega jej nawet nierozum ludzki!

Wesołe towarzystwo warszawskie w pogoni za zabawą docierało aż do tej miejscowości. Tu ciekawsza połowa rodu ludzkiego oglądała salony wypełnione skromnymi mebelkami studentów, rozważni pili wodę, jakiej w Puławach nie dostać! dzieci rwały się do czółna. Pływackie ich popędy zaraziły ogół: wszyscy chcieli pływać i około dwudziestu osób wpakowało się od razu na czółenka ledwie starczące dla dziesięciu.

Naturalnie przeproszono ich, a entuzjazm gorętszych ostudzono za pomocą uwagi, że łąka jest dość głęboka. Towarzystwo podzieliło się na dwie partie: jedni usiedli w czółnie, drudzy na brzegu, ochnocza młodzież pochwyliła za wiosła.

Dno łąki pokryte jest lasem roślin najrozmaitszych form i wielkości. Lilie wodne wypływają na powierzchnię, inne ledwie dosięgają zwierciadła wody, jeszcze inne kryją się w głębi. Wpatrzywszy się, osobliwie przy dniu pogodnym, widzisz mnóstwo istot zielonawooliwkowego koloru, tworzących jakieś różańce z kosmatymi paciorkami, to znowu coś na kształt trawy, pokrzyw, kaktusów. Widzisz wysokie rośliny pojedyncze, wybijające się

jak sosna nad krzakami leszczyny, to znowu klomby ich gęste i pomotane, to znowu całe trawniki i łąki. Między tym wszystkim mkną stada rybek mniejszych i większych, ilością przypominających roje pszczół lut) komarów. Tu i ówdzie nad gładką powierzchnią wody wyskakuje jakiś przedmiot o srebrnym połysku: jest to płotka usiłująca schwycić w lot owada. Przechodząc wzdłuż brzegu płoszysz stada żab, które skaczą na wielkie mety piersiami, bokiem lub zgołą na wznak, a zawsze z zafrasowanymi minami. Niekiedy między trawą przesuwa się w licznych skrętach upstrzony złotymi plamami wąż wodny, którego błyskawiczne ruchy i czarny widełkowaty język przyprawia damy o spazmy. Ślimaków także nie brak, pływają zawieszane w wodzie w swych zwiniętych i opatrzonych klapą skorupach. Ponad tą szóstą częścią świata rojącą się wszelakiego rodzaju życiem unosi się łódź pełna ludzi wesółych. Damy śmieją się lub śpiewają, dzieci usiłują gwałtem zbadać dno łąchy, z wioślarzy ciekną strumienie potu, a młody sternik bawi się w robienie grzeczności paniom. Ach! gdybyście widzieli, jak czółno zamiast iść wprost idzie w lewo, a zamiast na lewo? na prawo, jak zamiast płynąć, kręci się w kółko na podobieństwo skrzydeł wiatraka ... Gdybyście pomyśleli, że lada figiel pograży miłe to zgromadzenie w wodzie na sążeń głębokiej, gdzie na oplatanie rąk i nóg czeka tysiące roślin... A chór złożony z jednego głosu żeńskiego i kilku przeraźliwie nijakich śpiewa tymczasem:



....Gdyby jaskółeczką lecieć mi po niebie,
Gdyby rybką w rzece płynąć mi do ciebie...

- Stasiu! nie wychylaj się!... Łódka zaczyna drygać.
- Panie Władysławie, skreć pan na prawo!... Łódka zaczyna się obracać w kółko.
- Stasiu! co robisz!... Panie. Władysławie, po jakiemu pan sterujesz!...
- Ja paniom szale podaję! - odpowiada pełen elegancji sternik uwijając się w czólnie jak wilk w zamkniętej owczarni.

Młody ten człowiek przy damach poważnych steruje po anielsku, lecz dostawszy się między panny, osobliwie ładne, traci równowagę duchową i jest po prostu niebezpieczny. Przeklinasz zatem czółno i łąchę, dobijasz do brzegu i obiecujesz sobie nie wozić nigdy dam ani dzieci, ani ludzi nie umiejących pływać przy pomocy sterników, na których zbyt silnie wpływają panieńskie wdzięki.

Świecił tam jeszcze księżyc podówczas; kwakały, kukały, skrzeczały i rzechotały żaby, ale pies by ich słuchał! Czy podobna zachwycać się pięknosciami natury, myśląc o tym, kogo pierwiej należy wyciągać, jeżeli się czółno wywróci?

Tak w najogólniejszych zarysach wygląda ogród puławski.

"Kartki z podróży"- jest to zbiór felietonów i reportaży pisanych przez B. Prusa podczas jego licznych wędrówek reporterskich po kraju. Felietony zamieszczane były od roku 1875 w Kurierze Warszawskim.

